

ZIMNO.

Działo się to ubiegłej, niemiłosiernie surowej zimy.

Bernard, malarz pokojowy, był kawalerem. Uważał bowiem, że mieć do czynienia z kobietą raz na tydzień — aż nadto. Wobec tego, kiedy wraz z zachodem słońca wracał po skończonej robocie do swego pokoju, zastawał go w takim samym stanie, w jakim opuścił go zrana: łóżko niezastane i piec zimny. Z łóżkiem prędko się jako tako uporał, ale z napaleniem w piecu sprawa była dłuższą i trudniejszą; bardzo zręczny w rękach bowiem, kiedy chodziło o wyklejanie ścian papierem, był niezgrabiaszem, gdy mu wypadło rozpalic ogień i pora obiadowa zastawała go nieraz jeszcze na kolanach z nosem w popiele, dmuchającego na tlejące drzazgi między zużytymi zapalkami i skrawkami papieru. Dzień w dzień toczyła się walka między człowiekiem, pragnącym ciepła a piecem który nie chciał się nagrząć. Czoło wiek wymyślał i kłął na czym świat stoi, a piec milczał jak zaklęty. Aż wreszcie Bernard dał za wygraną i zaczął spędzać godziny, dzielące go od obiadu, w kawiarni — domowym ognisku ludzi samotnych. Lecz i to nie dogadzało mu: musiał tam pić bowiem i płacić, a żołądek miał delikatny i kieszeń lekka; brać udział w rozmowach przytem, co ze względu na to, że był inteligentniejszy od swych towarzyszy, nudziło go.

Pewnego popołudnia pan Boussu, pryncypał, który przyszedł rzucić okiem na jego robotę, odezwał się doń:

— Czy nie chciałbyś mi oddać pewnej przysługi, mój Bernardzie? Odebrać pieniądze mianowicie według tego rachunku po skończonej dmiówce. Ja nie będę miał czasu na to. Oddałbyś mi jutro rano gotówkę.

— I owszem! — ucieszył się Bernard — przejdę się chętnie.

Rad, że go omiła kawiarnia, z rękami w kieszeniach udał się we wskazane miejsce. Mróz był siarczysty. Z jakim więc rozkosznym uczuciem wszedł po półgodzinnym spacerze do dobrze ogrzanego przedpokoj, zazdroszcząc chłopcu, który mu otworzył.

— Czy mogę widzieć się z panem Garreau? — spytał — z polecenia pana Bossu.

List z rachunkiem zaadresowany był: „WP. Garreau, wydawca, ulica Bac“.

— Proszę zaczekać tutaj — odparł chłopiec.

Bernard wszedł do obszernej ciepłej sali, w której znajdowało się już pięć osób. Skłonił się im grzecznie, zauważywszy przytem, że przyglądano mu się z pewnego rodzaju nieufną ciekawością. Nic go to nie obeszło jednakże: zbyt był kontent, że się tu dostał.

— Pięć osób przedemną! — pomyślał — mam szczęście! Zdażę ogrzać się.

Usiadł obok mężczyzny, zagłębionego w czytaniu dzienników, leżących na stole. Wezwano jedną damę, jednego pana potem. Trzy nowe osoby weszły,

Bernard, wniebowzięty uczuciem rozkosznego ciepła, czekał.

— Gdzie miałem przyjemność widzieć kochanego kolegę? — odezwał się doń są-

siad, skończywszy przeglądać pisma.

— Na bankiecie Paul Valery może lub na jednym z czwartków d'Aurel?... Czy kolega przyniósł powieść?

— N... nie — odparł Bernard, orientując się, że sąsiad bierze go za literata. Nie zdołał jednak wyznać, iż przyszedł z rachunkiem... przejęty swem przebywaniem wśród powieściopisarzy. Byleby tylko nie zdradzić się, że on jest malarzem pokojowym....

Płonne obawy jednak: sąsiad mówił sam bezustannie; Bernard słyszał nieznane sobie nazwiska jak André Gidé i Claudel, oraz niezrozumiałe dlań słowa: obskurantyzm, psychoanaliza i t. p. Sąsiad wszakże mówił o sobie przeważnie i skończył skargą:

— Mieć mój talent i wycierać spodnie na krzesłach wydawców! Miast tworzyć swobodnym umysłem, spędzać popołudnia w ich poczekalniach!...

— Wcale dobrze tutaj — bąknął Bernard nieśmiało i nagle genialna myśl zabłysła w jego mózgu: znalazł idealne miejsce dla spędzania darmo w ciepłe i wyborowem towarzystwie dwóch, trzech godzin przed-obiednich; poczekalnię wydawców!

Jest tylu ludzi pióra, Bogu dziękować, że musi istnieć też i garstka wydawców. Bernard, postarawszy się o ich listę, wykluczył tych, którzy przyjmują zrana i wczesnym popołudniem; pozostało kilku, udzielających audjencji między czwartą a siódmą; dostateczna ilość do zapełnienia sześciu dni tygodnia (w niedziele nie mógł na nikogo liczyć, niestety). I Bernard pokazał język kawiarni oraz swemu piecowi....

Po skończonej pracy, zdjąwszy bluzę strzepywał starannie garnitur (przez kokieteryję raczej, niż z potrzeby, widział bowiem w poczekalniach literatów o wiele mniej eleganckich od siebie) i szybkim krokiem podążał przez stężale od zimna ulicy ku swym ciepłym schroniskom. Pewną ręką zapisywał swe nazwisko na bloku, który mu chłopiec podawał i wchodził do poczekalni z miną stałego gościa — z rulonem resztek kolorowego papieru pod pachą — zamiast rękopisu.

Zainstalowany przy stole przeglądał pisma, nie uchylając się nawet od niewinnej rozmówki z jedną z obecnych osób na sali.

Najważniejszą rzeczą dlań było uważać bacznie na swoją koleję. Skoro bezpośredni jego poprzednik wchodził do gabinetu wydawcy, wyciągał zegarek, udawał zirytowanego i ze słowami:

— Ach! Nie mam czasu czekać dłużej! — wychodził.

Nie wiem ilu literatów wykazał ostatni spis ludności, wiadomo mi tylko, że liczą ich na dziesiątki tysięcy i nigdy dokładnie; rodzą się bowiem niebożęta, jak grzyby po deszczu. Tego narodu nie ubywa! Nie dziwię się już temu, myśląc o Bernardzie; niespełna jeden sezon może widocznie wydać pisarza. Zima trzymała jeszcze świat w swych szponach, kiedy nasz malarz pokojowy został literatem.

Dzień w dzień od czwartej do siódmej był w towarzystwie literatów, nieszczętnik! O literaturze tylko słyszał! Pełne miał uszy plotek literackich. Wczytywał się w pisma,

by móc brać udział w rozmowach, prowadzonych w poczekalniach wydawców. Kapał się w atmosferze nadziei i zawodów literackich; wszyscy ci ludzie bowiem, mężczyźni i kobiety, wyczekujący swej koleji o jednym tylko mówili z bijącym sercem:

„Czy wydawca przeczytał ich rękopis“?

„Czy mu się spodobał“?

„Czy go zatrzyma“?

„Czy zwróci“?

On jeden był gościem niezainteresowanym; lecz rozgorączkowane te tchnienia rozpalaly powietrze w sali, a Bernard powietrzem tem oddychał.

Niektórzy pytali go: „Nad czym pan teraz pracuje?“

— Nie wiem... — odpowiadał — waham się... szukam tematu...

I były chwile, że naprawdę szukał

Zdarzyła się przytem rzecz ważna i nieprzewidziana: w ogniu dyskusji nad superrealizmem ze swym „kolegą“, nie zauważył, że kolej jego nadeszła. Drzwi gabinetu otworzyły się, wydawca stanął w nich i zawołał: „Pan Bernard“... Musiał wejść. Miał swój rękopis z kolorowych skrawków pod pachą.

— Powieść przypuszczam? — spytał wydawca — będę prosił o dwa tygodnie do przeczytania jej — dodał — wyciągając dłoń po rulon.

Bernard cofnął się szybko:

— Nie... nie... Nie mogę jej dać panu... bo... bo... nie jest jeszcze... wykończona... Muszę... opracować ją jeszcze... Wróćcie nibawem... moje uszanowanie panu...

Autorowie nie zwykli mówić tym językiem. Wydawca, zaintrygowany, pokazał Bernardowi krzesło i siadając sam, zarzucił go pytaniami:

— To pierwsza powieść pańska?... Ile masz pan lat?... Czy pracujesz w innym zawodzie przytem?...

Bernard przyznał się, że jest malarzem pokojowym.

— I swoje życie opisujesz pan w tej powieści? To ciekawe! Stokroć ciekawsze od małomieszczańskiej psychologii. Cała rzecz w tem, aby dobrze ująć. Skoro będziesz pan zadowolony ze swej powieści, przynieś mi ją. Sam ją przeczytam...

Bernard, drżący, zmieszany, wszedł ze schodów. Nie czuł zimna na ulicy, szukając otworu kanałowego dla wrzucenia swego fałszywego rękopisu i sklepu dla kupienia ryzy papieru.

Od owego dnia po skończonej dmiówce nie szedł do wydawców. Ani do kawiarni. Biegał do swego pokoju. Mniejsza o to, że w piecu było *czarno*. On siał przed ryzą papieru. Nic nie czuł, nie widział i nie słyszał. Cały świat mieścił mu się w mózgu. Został literatem...

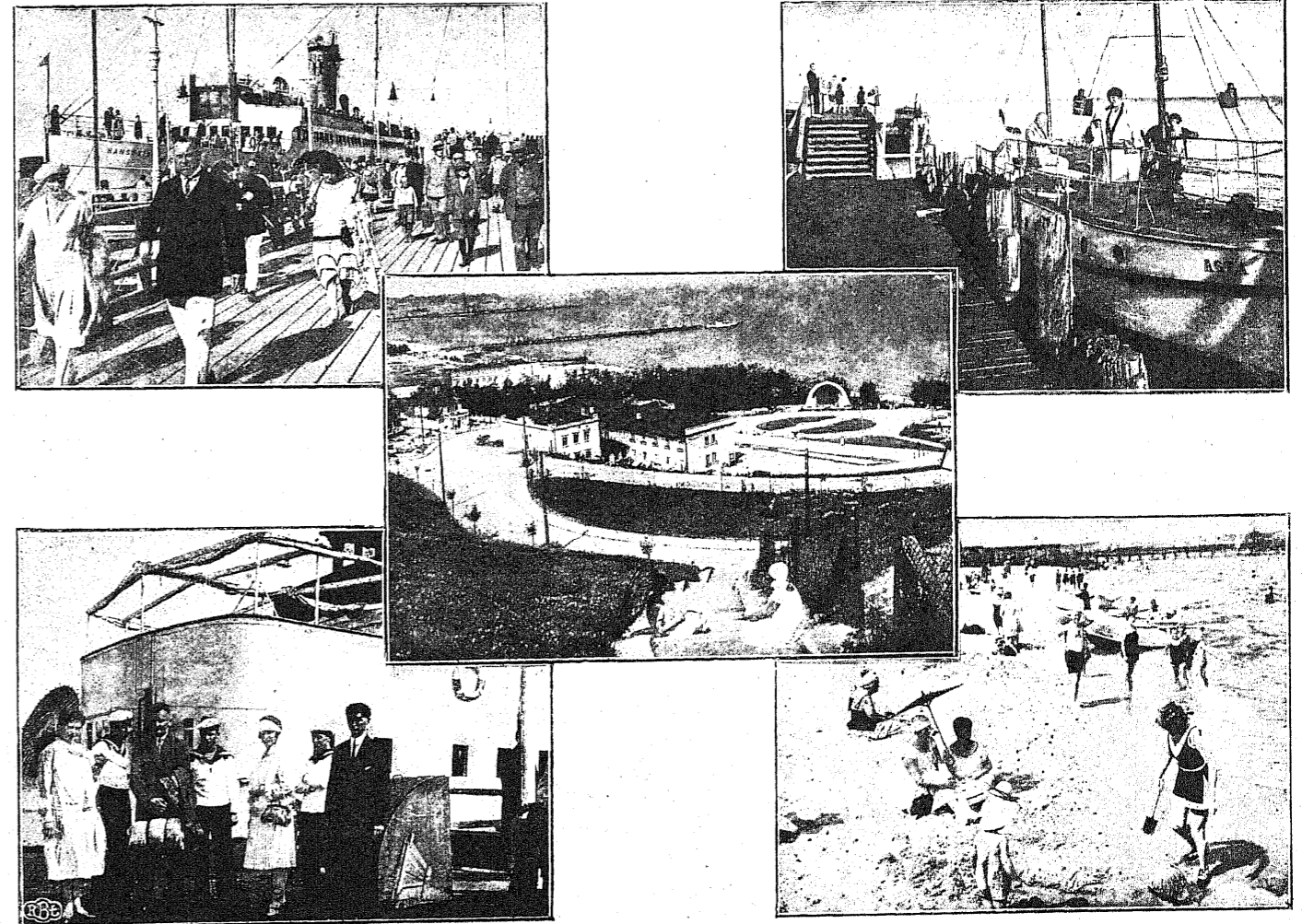
Jaka szkoda, że działo się to w zimie, nie w innej porze roku, iście naprzykład: Czy dla literatury szkoda, niewiadomo, ale dla niego, dla Bernarda szkoda, zamknięty bowiem codzień w swym lodowatym pokoju, przeziębził się, rozkasłał i umarł.

A wszystko dla tego, mój Boże, iż znalazł idealne miejsce, dla spędzania w ciepłe dwóch godzin dziennie podczas surowej zimy.

Thum. Jotsaw.



Wiatr od morza.



Piaszczyste wybrzeże polskiego morza ożywiło się tłumnie przybywającymi wycieczkami z całej Polski oraz licznie spędzającymi okres kanikuły w nadmorskim zakątku mieszkańców miast wszystkich województw. Najlepiej w roku bieżącym dopisała Łódź. Nad morzem spotyka się przeważnie łodzian, rozkoszujących się pięknem majestatycznej potęgi morza polskiego. Na złotym piasku wybrzeży Bałtyku upływa czas krotochwilnie i niefrasobliwie. Powyżej podajemy kilka fragmentów z wybrzeży polskiego morza, a więc port gdyński z rzutem oka na molo, okręt zagraniczny, wypoczywający po długiej podróży morskiej w porcie polskim, łodzian na statku „Gdynia“ oraz rozskłoneczoną plażę. Fot. A. Mayer.

TEATRALJA.

„Śluby panięskie” w galowej obsadzie. — Nieco o „żelaznym” repertuarze. — Międzynarodowy kongres autorów dramatycznych.

Dyr. Szyfman zapoczątkował w Teatrze Polskim wielki festiwal letni wystawieniem „Ślubów panięskich” w nowej reżyserji Stanisławskiego i obsadzie prawdziwie galowej. Jaki był poziom tego odświętnego przedstawienia, o tem świadczy afisz z Leszczyńskim — Guciem i Maszyńskim — Albinem, Malicką — Anielą i Modzelewską — Klarą oraz Stanisławskim — Radostem. Szczególny pietyzm dla Fredrowskiego arcydzieła cechował zarówno grę aktorów, jak reżyserję i stylowe dekoracje Frycza. Kto tylko może — powinien na własne oczy zobaczyć to wyjątkowe widowisko, świadczące tak znakomicie o reprezentacyjnych możliwościach Teatru Polskiego.

Z niezwyklej okazji tysięcznego zrzedu przedstawienia dość przeciętnej operetki „Rose-Marie” w paryskim teatrze „Mogador”, p. Waclaw Grubiński w jednym z dzienników warszawskich, powołując się na świadectwa krytyki francuskiej, podkreśla, że niektóre arcydzieła takich piór, jak Corneille’a, Racine’a i Moliere również osiągnęły tysiąc przedstawień, ale w ciągu trzystu, a nie — trzech lat. Ponieważ te arcydzieła stanowią właśnie żelazny repertuar Komedji Francuskiej, a zajmują mniej więcej trzy przedstawienia do roku, więc stąd konkluzja, że repertuar żelazny istnieje właściwie dla... trzech tysięcy widzów. Paryż, czy Francja, nie są rzeczywiście wyjątkiem w dziedzinie stosunku szerszej publiczności do dzieł klasyków. A jednak — mimo wszystko — poważny teatr o aspiracjach reprezentacyjnych, traktowany nie tylko jako przedsiębiorstwo handlowe, taki repertuar żelazny posiadać powinien, — pod warunkiem, że zespół teatralny jest duży, należyście skompletowany i stały. Posiadając repertuar żelazny, złożony np. z dwudziestu czterech znakomitych utworów, teatr może — wywodzi p. Grubiński — przez trzy tygodnie w miesiącu grać codziennie inną sztukę klasyczną, zaś jeden tydzień poświęcić nowszej twórczości rodzimej. Tym sposobem — można w ciągu jednego miesiąca wystawić dwadzieścia kilka utworów, co wymaga, oczywiście, prócz odpowiedniego personelu, bardzo wiele pracy i czasu dla należytego przygotowania wybranych sztuk. Rozważania te muszą się wydać bardzo na czasie, jeśli zważymy, że nawet najpiwsze sceny polskie dają nierzadko w zakresie repertuarowym obraz bezplanowości i chaoty czności.

Międzynarodowy kongres autorów dramatycznych i kompozytorów, który skończył się w tych dniach w Madrycie, zgromadził około stu delegatów różnych narodowości. Związki autorów dramatycznych polskich reprezentowane były przez pp. Stefana Krzywoszewskiego i Gustawa Beylina. Uczestnicy kongresu byli uroczyście podejmowani przez rząd hiszpański, władze miejskie stolicy i autorów dramatycznych hiszpańskich. Obrady odbywały się w pałacu wystawowym, w pięknym parku — Retiro. Bardzo ożywioną dyskusję wywo-

ły takie kwestje, jak reglamentacja praw autorskich w stosunku do wchodzącego w modę filmu mówionego oraz sprawa kontyngentowania sztuk cudzoziemskich w różnych państwach. Wobec ujawnionych w dyskusji rozbieżności, przyjęte rezolucje brzmią dość ogólnikowo. Konieczność obrony twórczości narodowej przed zalewem sztuk obcych, zwłaszcza amerykańskich, została wysunięta przez autorów francuskich.

Uchwalono między innymi, że kongres przyszłoroczny odbędzie się w Budapeszcie. Prezesem konfederacji stowarzyszeń autorskich na rok bieżący wybrany został znany komedjopisarz niemiecki p. Fulda; prezesem federacji towarzystw autorów dramatycznych — hiszpan p. Marguina, wiceprezesami włoch — Chiarelli i węgier — Holtay.

Umberto Giordano, autor znanej opery „Andrzej Chenier”, wystawił w medjołańskiej „Scalli” nową swą operę p. t. „Król” („H. Re”), do której libretto opracował autor dramatyczny Forzano. Opera, prowadzona przez Toscanini’ego wywołała wielki entuzjazm wśród publiczności. Uwagę zwracały m. in. ciekawa inscenizacja i bardzo malownicze dekoracje.

Nową operę wystawił również w Budapeszcie popularny kompozytor Ernest Dohnanyi p. t. „Tenor”, do której libretto zaczerpnął z mieszczańskiej komedji Sternheima — „Obywatel Schippel”. Pogodna akcja i melodyjna muzyka opery sprawiły, że nowość Dohnanyi’ego przyjęto bardzo życzliwie.

Znany w Polsce autor angielski Somerset Maugham napisał interesującą sztukę, opartą w dużej części na wydarzeniach wielkiej wojny. Bohaterem jej jest sparaliżowany naskutek ran wojennej, osiłą zaś dramatycznego konfliktu walka jego żony pomiędzy obowiązkami małżeństwa a miłością do zdrowego i pięknego kochanka.

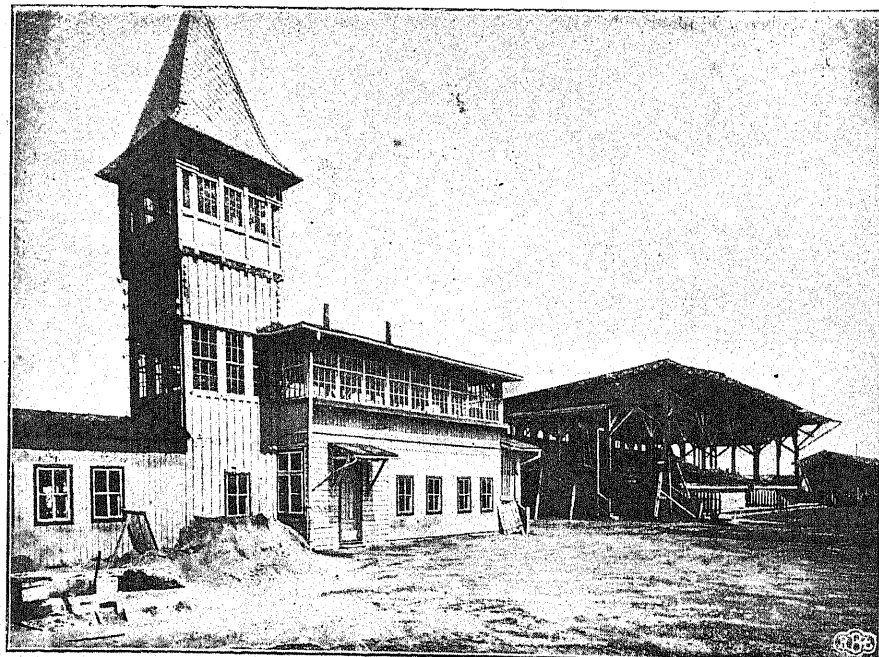
Z okazji setnej rocznicy powstania „Faust”, wydał w Lipsku Juljus Petersen ob-



Ś. p. ks. senator Jan Albrecht, tajny szambelan Jego Świętobliwości Piusa XI, założyciel i patron Stow. Robotników Chrześcijańskich, rektor kościoła św. Marcina zmarł dnia 6 lipca r. b. w Warszawie.

szerne studjum, obejmujące dzieje „Fausta” na scenach niemieckich, od pierwszego wystawienia tego arcydzieła w Brunświku aż do ostatnich inscenizacji w Berlinie. Autor studjum daje historyczny i krytyczny przegląd widowisk „Fausta” w Niemczech, uwydatniając przytem zmianę gustów publiczności i rozwój techniki teatralnej w ciągu stulecia. Studjum Petersena stanowi jedną z najciekawszych prac w zakresie monografij teatralnych, tembardziej, że przedmiotem tego studjum jest dzieło, z tytułu swej wielkości posiadające znaczenie wszechludzkie.

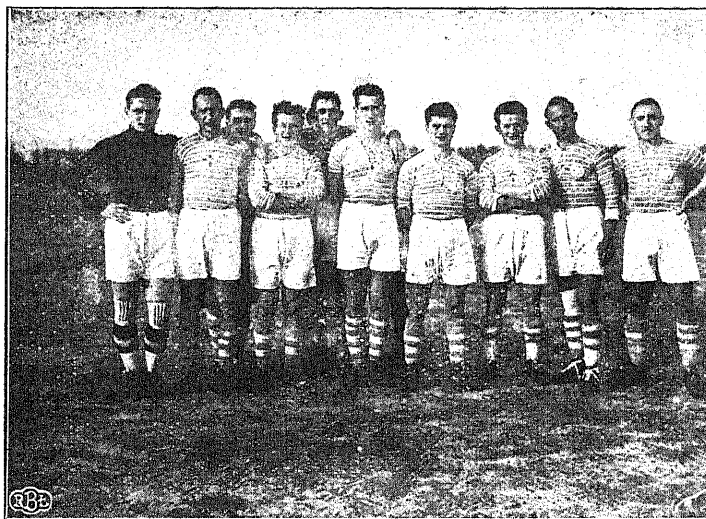
Delta.



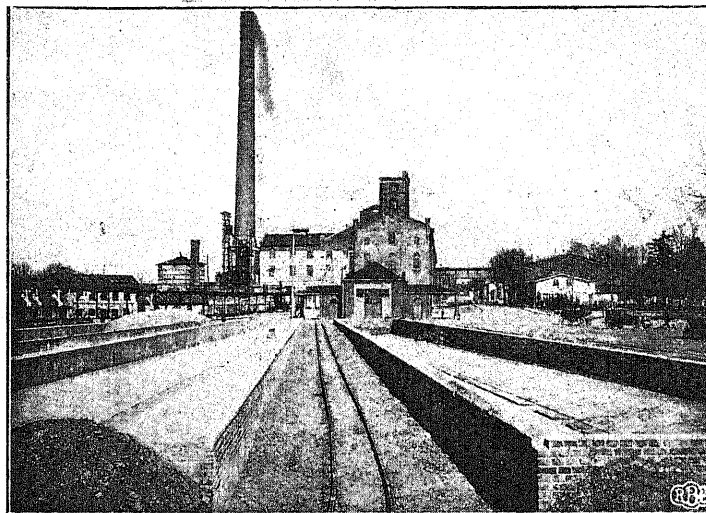
W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w Rudzie Pabjanickiej sezon wyścigów konnych. Powyżej widzimy trybunę na torze wyścigowym. Fot. A. Meyer



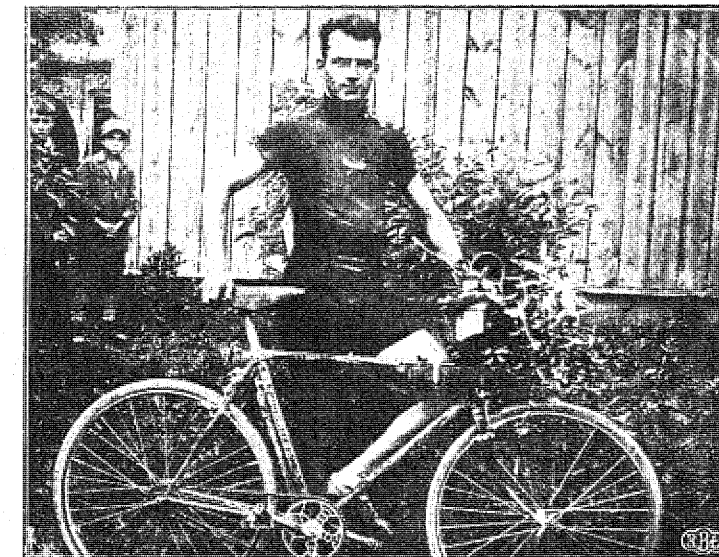
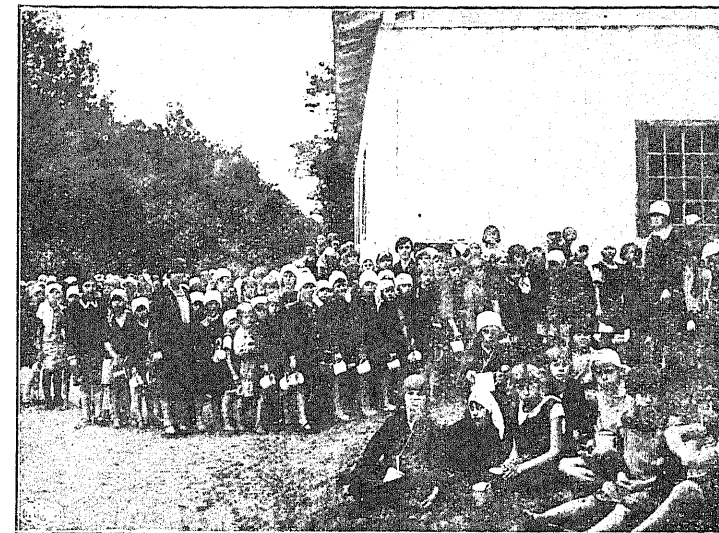
W dniu 1-go lipca r. b. uruchomione zostały na Polesiu Widzewskim miejskie półkolonie letnie dla najbiedniejszej dziatwy szkół powszechnych w Łodzi. W okresie lipca korzysta z półkolonii przeszło 2 tysiące dzieci. Powyżej widzimy grupy dziatwy na miejscu półkolonii.



W ubiegłą niedzielę odbyły się zawody piłkarskie pomiędzy drużyną „Hakoach” wiedeński a Ł. K. S., zakończone zwycięstwem drużyny „Hakoach”, której zespół widzimy powyżej.



Ogólny widok największej w województwie łódzkim cukrowni „Leśmierz” Tow. Akc. Scheibler. Fot. A. Meyer



P. Stanisław Kłosowicz, mistrz województwa łódzkiego, zdobył puhar na wyścigu górskim Kraków—Zakopane w d. 7 b. m.



Uroczyste pożegnanie żołnierzy 29 pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu przed wyruszeniem na ćwiczenia do Raducza.



Leura La Plante i Jelm Harron w komedji p. n. „Jedwabna pończoszka”



Ulubieniec miłośników ekranu Harold Lloyd w swej charakterystycznej filmowej.



Norman Kerry, czołowy artysta wytwórni „Universal”.



Harold Lloyd w „cywilu”.



Artystka filmowa, Evelin Brent.



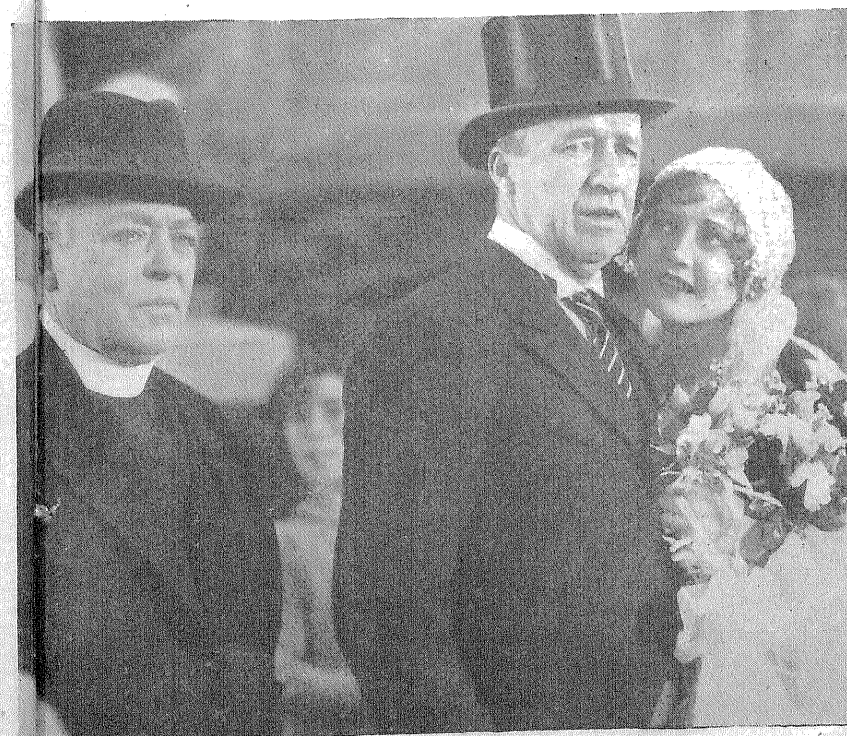
Mary Dunn, nowa „gwiazda” filmu polskiego.



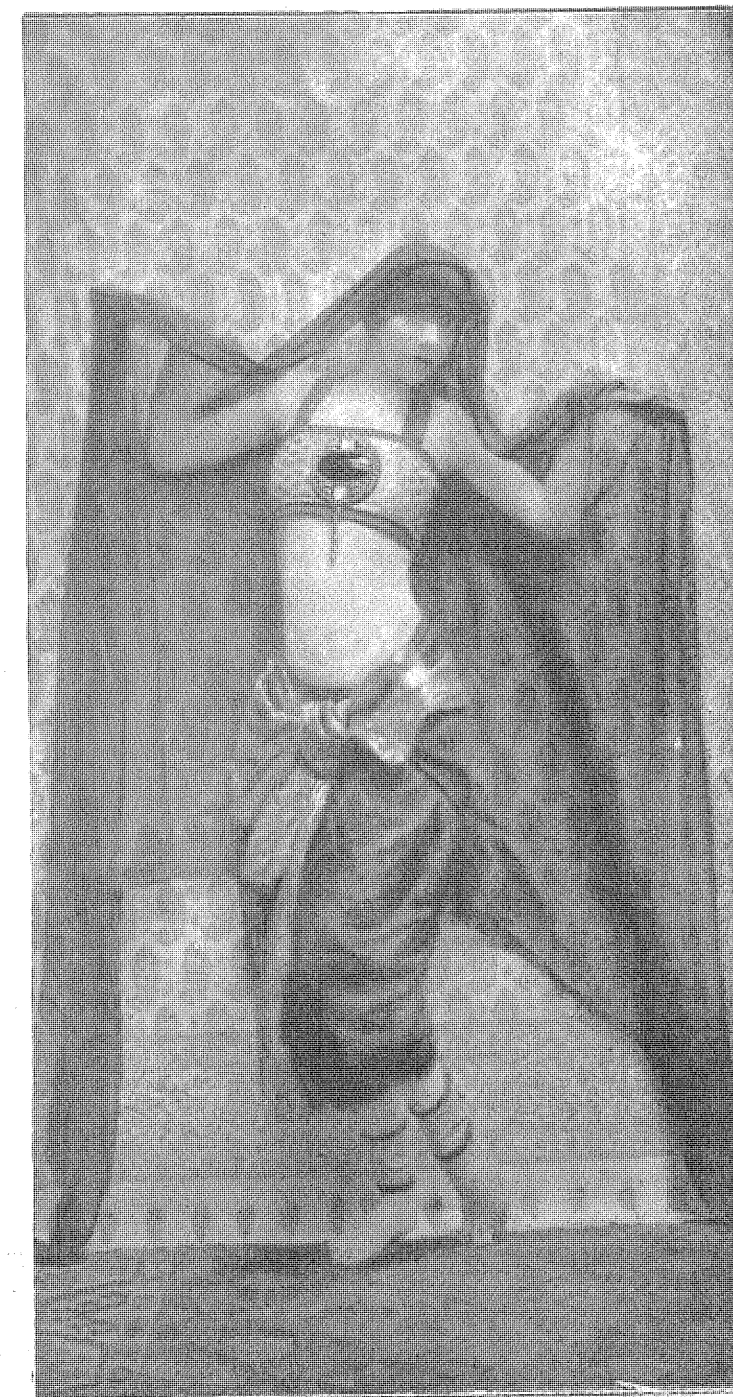
Erich Kaiser-Titz i Claire Rommer w wystawionym obrazie „Karuzela śmierci”.



Wśród najsympatyczniejszych amantów filmowych, Józef Schildkraut, znany z obrazu p. n. „Król wicz się bawi”.



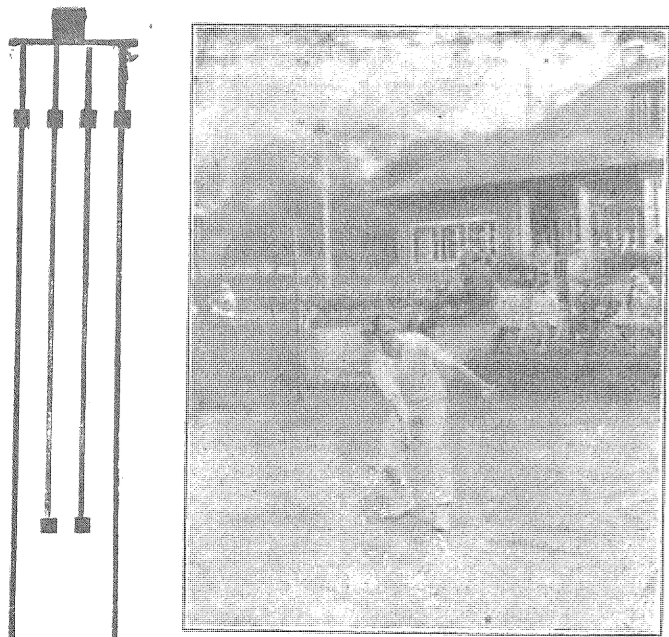
Scena z komedjowego filmu p. n. „Trzykrotne wesele”, produkcji 1929-30 r. z udziałem Nancy Carroll i Charlesa Rogersa.



Tancerka uliczna — hrabina. Hrabina Marja di Castellani występowała ongi jako tancerka na ulicach Rzymu.



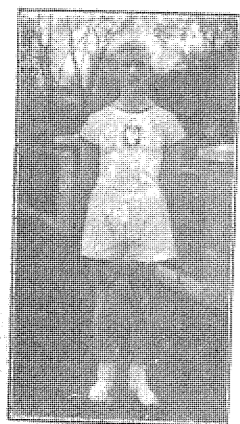
„Uwiedziona kochanka”, obraz z Renee Adoree.



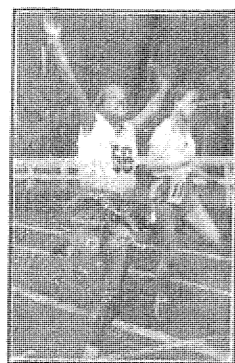
Warmiński podczas turnieju tenisowego o mistrzostwo Polski.



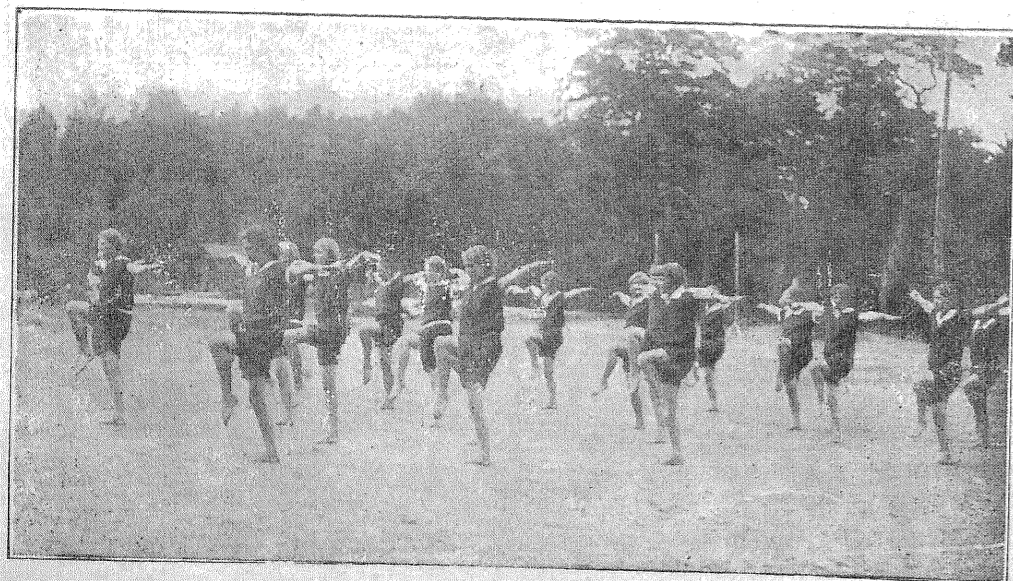
Miss Mabel Cord, mistrzyni U. S. A. w strzelaniu.



Kpt. Baran stawał na olimpiadzie amsterdamskiej.



Na lewo p. Hulaniczka bije Woynoszowską na 60 metrów. U góry grupa zawodniczek A. Z. S. U dołu p. Tabacki wygrywa 200 mtr. przed Gędzińską i Rokoszańką. Na prawo p. Konowska w skoku.



Fragment z popisów gimnastycznych.



Lekkoatleta polski Szelestowski, bronił barw polskich na pięcioboju olimpijskim.



Nowa retrospektywna wystawa mistrzów malarstwa polskiego w parku Sienkiewicza w Łodzi.



„Nad świeżą gazetą” w świetlicy.



Kolarski bieg górski na przestrzeni Kraków—Zakopane, udział w którym wziął p. Stanisław Kłosowicz, zdobywając pułhar srebrny.



Świetlica żołnierska 31 p. Strzelców Kaniowskich. Zdjęcie przy katalogu ściennym.



Godziny pozasłużbowe w świetlicy żołnierskiej 31 p. S. K.



Zakończenie kursu dla analfabetów w świetlicy 31 p. Strzelców Kaniowskich. Rozdanie świadectw przez gen. Olszynę-Wilczyńskiego, d-cę 10 dywizji piechoty.

COLETTE IVER.
V. V. CZYLI SANCTA SANCTIS.

Siostra Rozalja miała sobie powierzone pielęgnowanie ubogich chorych po domach szóstego okręgu od ulicy Vavin do ulicy Vieux-Colombier.

Wszyscy lekarze dzielnicowi i aptekarze znali tę pięćdziesięcioletnią zakonnicę o łagodnym spojrzeniu i dobrym uśmiechu; wszyscy rzeźnicy i kupcy korzennymi, na których nakładano okup, wszyscy właściciele bogatych apartamentów, które szacowała — jako poborca z Bożego ramienia, wobec którego ci z Republiki wydawali się nad miarę skromni.

Pewnego popołudnia, z czarnym swym koszykiem na ręku, w którym pobrzękiwały: strzykawka Pravaz, termometry, bańki i lewatywa, już miała przestąpić próg klasztoru, kiedy stanęła przed nią młoda dama w skórze pantery, w pantofelkach usianych perłami, o karmimowych wargach i błękitnych oczach. Auto jej stało na ulicy.

— Siostra Rozalja z pewnością — rozległ się słodki, nieśmiały głosik.

— Czem mogę pani służyć? — pyta siostra Rozalja nerwowo, wprowadzając przybyłą do rozmównicy — nie mam dużo czasu...

— Siostra śpieszy się do swych nieszczęśliwych — przerwała jej młoda dama z czarującym uśmiechem — ale skąd możesz wiedzieć, siostrze, czy ja do nieszczęśliwych nie należę? Czy moje serce nie jest bardziej chore od tych ciał, które pielęgnujesz?

W rozmównicy, dzięki białym firankom, wydawała się siostrze Rozalji anielsko piękną ze łzami, perłami się w oczach.

— Pani straciła kogoś bardzo drogiego? — spytała.

— Właśnie — potwierdziła młoda dama ze smutkiem.

— Dziecko? — indagowała dalej zakonnica, widząc, że kobieta nie jest w żałobie. Interpelowana zaprzeczyła ruchem głowy.

Narzeczonego prawdopodobnie — pomyślała siostra Rozalja w duchu, podczas gdy młoda dama jęła głosem zboliałym malować stan swej zrozpaczonej duszy.

— Nie mogę pracować... — skarżyła się.

— Pani pracuje?... spytała siostra Rozalja zdumiona.

— Jestem artystką, siostrze.

Siostra Rozalja wyobraziła ją sobie w jednym z pałaców dzielnicy „l'Etoile“ z pendzlem na ręku, pod okiem ojca i oliwnej matki.

— Życie niema dla mnie ceny — ciągnęła swą spowiedź młoda dama, wsuwając do rąk siostrze Rozalji dwa banknoty wysokiej wartości — pragnę tylko ludziom dobrze czynić. Ilekroć natrafisz, siostrze, na wielką nędzę — dodawał wstając — napisz do mnie. Jestem Viette Valenzia, V.— V., jak nazywają mnie w Paryżu. Widać, siostrze, że nie patrzysz na afisze — zauważyła w odpowiedzi na wyraz twarzy siostry Rozalji, zdradzający absolutną nie-

świadomość rzeczy — V.— V. z Folies-Bergère.

— Niech Bóg ci odda tego, którego straciłaś, droga pani — wyszeptala siostra Rozalja akt strzelisty, ściskając w dłoni banknoty.

— Byle prędzej!... — westchnęła młoda artystka, wychodząc.

Prezes T-wa Św. Wincentego a Paulo sześćdziesięcioletni adwokat Fevrier zdumiał się, kiedy siostra Rozalja z radosnym uśmiechem na twarzy pokazała mu dwie tysiącfrankówki, nadmieniając, że będzie ich miała teraz wbród dla swoich ubogich.

— Czarująca młoda tancerka z Folies-Bergère, obiecała zasilać mię. V.— V.

— Moja siostrze — szepnął zacny adwokat, któremu stanęły nagle w oczach artystyczne afisze z osławionymi długimi nogami Viette'y Valenzii — jak mogłaś przyjąć?...

— Ach! — odparła zakonnica — gdyby ją pan zobaczył i usłyszał! Niewąmiennie patrzy jej z oczu! Pragnie umrzeć, aby spotkać się w niebie z tym, którego straciła!

— Kogóż straciła? — zapytał p. Fevrier sucho.

— Napewno nie brata — odparła siostra Rozalja spuszczać oczy — znam na tyle życie, aby poznać się na bólu miłosnym. Czuję jednak, że mała ta oplakuje mężczyznę, który miał ją poślubić.

— Sancta Sanctis, moja siostrze — westchnął adwokat — wszystko bieleje w oczach świętych, ale ja tyle błota poruszyłem w ciągu mojej kariery...

— Ja również — zaznaczyła siostra Rozalja z przechwałką — pielęgnowałam nie raz kobiety złego prowadzenia.

Ostatecznie, prezes T-wa Św. Wincentego a Paulo zdecydował, że pieniądze te, jako jałmużnicze, nie powinny być, bez względu na ich źródło, odrzucone.

Viette Valenzia, którą porzucił był przed sześciu tygodniami młody szef biura Akademii Sztuk Pięknych, nie mogła, mimo swe dobre uczynki, doczekać się jego wrotu. Nic ją nie zajmowało, prócz świętości siostry Rozalji, która nawiedzała często, zostawiając za każdym razem znaczną kwotę dla ubogich. Dowiedziawszy się pewnego razu, że dwie kobiety, zagrożone gruźlicą, nie mogą dla braku funduszy być wysłane na wieś, podjęła się natychmiast tego kosztu, uspakajając oszołomioną siostrę Rozalję, że sprzeda w tym celu swój naszyjnik perłowy.

Na wieść o tem p. Fevrier miał lzy w oczach i odważył się wspomnieć o młodej tancerce swojej żonie.

— Daj mi spokój z młodością tej kreatury — ofuknęła go p. Fevrier — przed wojną jeszcze tańczyła.

Pan Fevrier postanowił poznać Viette Valenzie i podziękować jej osobiście za hojne ofiary.

Spotkawszy się z nią pewnego popołudnia na konferencji dobroczynnej z siostrą Rozalją w klasztorze, złożył jej wyrazy uznania w imieniu Zarządu T-wa Św. Wincentego a Paulo i wrzuszony do głębi jej

anielskim wyglądem (miała na sobie skromny kostjum popielaty) raz po raz ją powtarzać w obecności p. Fevrier.

— Ach, moja droga! Gdybyś znała tę dziewczeczkę!

Pani Fevrier, zaniepokojona, zwierzyła się swemu proboszczowi księdzu Bréault, który wiedział o tem, że siostra Rozalja rzuciła na prawo i lewo teraz pieniędzmi, utrzymaniem od aktorki i nie dopatrywał się w tem grzechu.

Przy pierwszej jednak sposobności nie omieszkał wybadać pana Fevrier w zakrystji:

— Ta panna Valenzia, która wspiera nas tak hojnie, czy jest, mimo swój zawód, na swoim miejscu?

— Ach, księżo proboszczu! — odparł adwokat z promieniącą twarzą — to czysta dusza, jedna z tych, które nadają się do klasztoru!...

— Doprawdy? — zdziwił się ksiądz Bréault zaintrygowany — widzujesz ją pan często?

— Miałem zaszczyt spotkać się z nią dwa czy trzy razy u siostry Rozalji, kiedy przynosiła swe datki!...

— Chciałbym poznać tę nawróconą duszę!...

— Nie śmiałem ci tego proponować, drogi proboszczu, ale skoro raczysz zniżać się do niej, urzędz spotkanie.

Pewnego kwietniowego wieczoru około Wielkiejnocy, w sali jadalnej państwa mecenasostwa Fevrier, przy stole nakrytym adamaszkowym obrusem, ksiądz proboszcz Bréault siedział, mając panią Fevrier po swej prawej, pana Fevrier po lewej stronie, vis-a-vis zaś młoda kobietę w czerni, niczem wdowę. Była nią Viette Valenzia. Brakowało siostry Rozalji jedynie wobec tego, że reguła nie pozwalała zakonnicom brać udziału w ucztach świeckich.

— Miewam nieraz nostalgję klasztoru — westchnęła V.— V., która od trzech już miesięcy wiodła czysty żywot mniszki.

Ksiądz proboszcz wspominał o Karmelitach. V.— V. napomknęła o świętej Teresie, której podobiznę miała w swej książeczce do nabożeństwa. Pani Fevrier miała wrażenie, że gości anioła pod swoim dachem. Ksiądz Bréault był oczarowany.

O dziewiątej godzinie Viette Valenzia, spojrzawszy na zegarek, oznajmiła, że musi wracać do siebie, niestety. Ksiądz Bréault również się śpieszył.

— Księżo proboszczu — zaproponowała V.— V. — Mam auto. Odwiozę księdza proboszcza po drodze.

To dopełniło miary. Kiedy, pożegnawszy gospodarzy, usiadł obok V.— V. we wspinał się Hispano, uczuł się wniebowziętym. Na rozmowie o rzeczach świętych upłynęło kilka minut, poczem auto stanęło przed plebanją. Ksiądz Bréault wysiadł, skłonił głowę przed V.— V. w dziękczynnym geście i znikł.

V.— V. wówczas, nachyliwszy się do szofera, rzekła:

— Pędź do Folies-Bergère, mój stary! Występuję w trzecim numerze po antrakcie.

Tłum. Jotsaw.



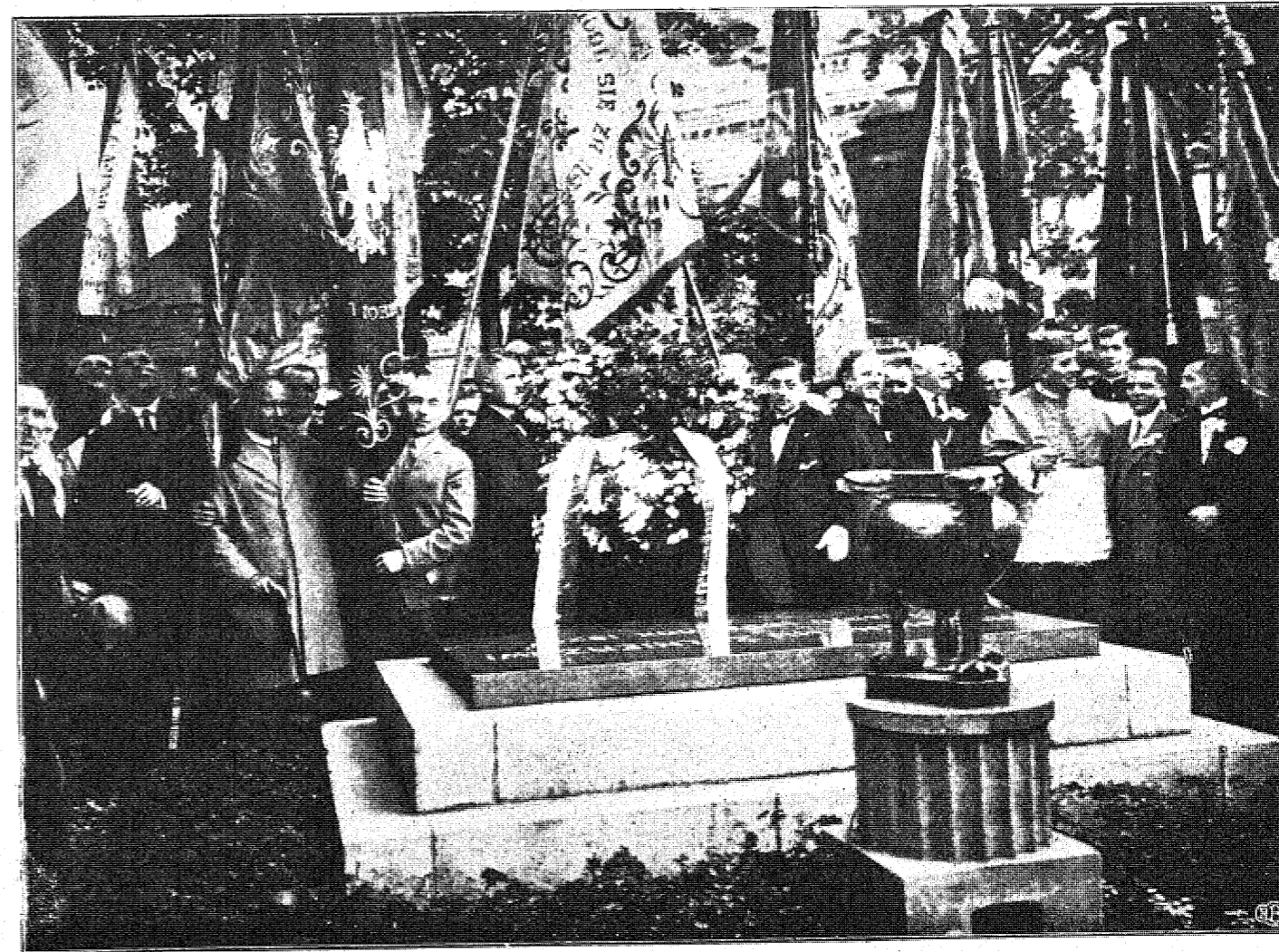
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI

Łódź, dnia 21 lipca 1929 r.

Nr. 29

Wojewódzki Zjazd Rzemieślniczy w Łodzi.



Rzemiosło polskie w Łodzi wkroczyło na tory nowego rozwoju, opartego o silną i spoiłą organizację wewnętrzną jaką jest własny samorząd — Izba Rzemieślnicza. W dniu 14 b. m. nastąpiło ukonstytuowanie się władz Izby. Z tej racji odbył się w mieście naszym walny wojewódzki zjazd rzemieślniczy. Na zdjęciu powyższym widzimy delegacje cechów i organizacji rzemieślniczych ze sztandarami przed płytą Nieznanego Żołnierza z J. E. ks. biskupem dr. W. Tymienieckim na czele.

Fot. A. Meyer.